

METODA

- jak Kartezjusz rozumie metodę? Jaką rolę w nauce spełnia prawidłowa metoda?
- z jakich dwóch składników składa się zupełna metoda badań naukowych? Jak definiuje je Kartezjusz?

MYŚLĘ, WIĘC JESTEM

- na czym polega postępowanie mające odnaleźć wiedzę pewną?
- jakie twierdzenie, na którym można zbudować gmach wszelkiej wiedzy z racji tego, że nie można w nie zwątpić, Kartezjusz nazywa „punktem Archimedesowym” oraz „pierwszą zasadą filozofii”?
- kim jest kartezjański zwodziciel, jaką funkcję pełni? Czy zwodziciel może podważyć pewność *cogito*?
- jak Kartezjusz definiuje ciało, a jak istotę człowieka - „rzecz myślącą”? Jakie funkcje przypisuje myśleniu?

POZNANIE RACJONALNE

- jakie kryteria prawdziwości poznania wymienia Kartezjusz?
- na czym opiera się istota rzeczy cielesnych według przytoczonego przykładu wosku?
- co Kartezjusz rozumie pod mianem rozciągłości?
- za pomocą jakiej władzy poznajemy przedmioty zewnętrzne? Czy zmysły odgrywają w poznaniu istotną rolę?

IDEA BOGA

- na jakiej podstawie Kartezjusz odróżnia ideę Boga od wszelkich innych idei w umyśle?
- w jaki sposób Kartezjusz dowodzi istnienia Boga? Jaki status ma idea Boga znajdująca się w ludzkim umyśle?

WOLA

- jak Kartezjusz określa wolę? Czym wola różni się od wszelkich innych władz umysłu?
- która spośród władz umysłu ludzkiego upodabnia człowieka do Boga i dlaczego?
- na czym polega możliwość błędu? Jak w tej kwestii wygląda relacja woli i intelektu?

DUALIZM DUSZY I CIAŁA

- jak Kartezjusz charakteryzuje relację między duszą a ciałem? Czym są wrażenia?
- w jaki sposób Kartezjusz rozwiązuje dylemat połączenia niematerialnej duszy i przestrzennego ciała? Gdzie, jego zdaniem, ulokowane jest miejsce ich pojednania?

MORALNOŚĆ TYMCZASOWA

- dlaczego własną koncepcję moralności określa Kartezjusz mianem „tymczasowej”?
- jaki cel stawia Kartezjusz moralności tymczasowej?
- jakie trzy zasady moralności tymczasowej wyróżnia Kartezjusz? Czym charakteryzuje się każda z nich?

METODA

I o wiele właściwiej jest nigdy nie myśleć o poszukiwaniu prawdy jakiejś rzeczy, niżli to czynić bez metody: jest to bowiem zupełnie pewne, że wskutek takich bezładnych studiów i ciemnych dociekań przyrodzone światło ulega zamąceniu, umysł zaś zaślepieniu, a wszyscy, którzy przyzwyczajają się tak poruszać w ciemnościach, tak dalece osłabiają bystrość swych oczu, iż później nie mogą znieść pełnego światła. Potwierdza to również doświadczenie, ponieważ bardzo często widzimy, że ci, którzy nigdy nie zajmowali się naukami, wydawali sądy bardziej niezachwiane i jaśniejsze o nasuwających się im przedmiotach niż ci, którzy ciągle obracali się w szkołach. Przez metodę zaś rozumiem pewne i łatwe prawidła, których jeżeli ktoś będzie ściśle przestrzegał, ten nigdy nie przyjmie czegoś fałszywego za prawdę i, nie tracąc na darmo żadnego wysiłku umysłowego, będzie zawsze powiększał stopniowo swą wiedzę i dojdzie do prawdziwego poznania wszystkiego, co poznać jest zdolny.

Należy tu jednak zwrócić uwagę na te dwie rzeczy: nie przyjmować mianowicie żadnego fałszu za prawdę i dojsć do poznania wszystkiego. Bo jeśli nie znamy czegoś z tego wszystkiego, co możemy poznać, pochodzi to stąd tylko, że albo nigdy nie spostrzegliśmy drogi, która by nas poprowadziła do tego rodzaju poznania, albo popadliśmy w błąd przeciwny. Otóż jeśli metoda wyjaśni należycie, jak należy posługiwać się intuicją umysłu, aby nie popaść w błąd przeciwny prawdzie, oraz jak należy tworzyć dedukcje, by dojsć do poznania wszystkiego, to wydaje mi się, że nic już jej nie brakuje do tego, by była zupełna, gdyż, jak to już poprzednio powiedziałem, wszelką wiedzę osiągnąć można jedynie za pomocą intuicji umysłu lub za pomocą dedukcji. Wszelako i metoda nie może iść tak daleko, by uczyć, jak należy dokonywać owych właśnie operacji, ponieważ są one najprostsze i pierwsze ze wszystkich, i to do tego stopnia, że gdyby nasz intelekt nie mógł już przedtem posługiwać się nimi, w takim razie nie pojawiłby on żadnych przepisów owej metody, jakkolwiek proste by one były. Inne natomiast operacje umysłu [...] są tu bezużyteczne albo raczej należy je zaliczać do przeszkód, ponieważ niczego nie można dodać do czystego światła rozumu, co by go w jakiś sposób nie zaciemniało.

Skoro więc znaczenie tej metody jest tak wielkie, że zajmowanie się naukami bez jej pomocy wydaje się raczej szkodliwe niż pożyteczne, nabieram bez trudności przekonania, że ją już przedtem w jakiś sposób poznały umysły wybitniejsze, choćby dzięki kierownictwu samej natury. Umysł bowiem ludzki posiada w sobie coś boskiego, w czym tak są zasiane pierwsze zarodki myśli użytecznych, że chociaż przez opaczne studia zaniedbane i przytłumione, często wydają samorzutnie owoc, jak to widzimy w najłatwiejszych z nauk: arytmetyce i geometrii. [...]

Cała metoda polega na porządku i rozłożeniu tego, na co należy zwrócić spojrzenie umysłu, aby odkryć jakąś prawdę. Otóż metody tej będziemy ściśle przestrzegać, jeżeli zdania zawite i ciemne sprowadzimy stopniowo do prostych, a następnie spróbujemy od intuicji tych, które są najprostsze ze wszystkich, wznieść się po tych samych stopniach do poznania wszystkich innych. [...]

Rozważymy tu wszystkie czynności naszego umysłu, za pomocą których możemy nie obawiając się omyłki dojsć do poznania rzeczy; otóż należy przyjąć jedynie dwie: intuicję i dedukcję.

Przez intuicję rozumiem nie zmienne świadectwo zmysłów lub zwodniczy sąd źle tworzącej wyobraźni, lecz tak łatwe i wyraźne pojęcie rozumu czystego i uważnego, że o tym, co poznajemy, zgoła już wątpić nie możemy, lub, co na jedno wychodzi, pojęcie niewątpliwe rozumu czystego i uważnego, które pochodzi z samego światła rozumu, a jako prostsze jest późniejsze nawet od dedukcji, chociaż, jak to wyżej zaznaczyliśmy, w tej także nie może człowiek błędnie utworzyć. Tak każdy może ująć intuicyjnie duchem, że istnieje, że myśli, że trójkąt jest ograniczony trzema tylko bokami, a kula jednolitą powierzchnią, podobnych zaś prawd jest o wiele więcej, niż większość ludzi spostrzega, ponieważ wzbrania się zająć swój umysł tak łatwymi rzeczami.

MYŚLE, WIĘC JESTEM

Będę mianowicie odsuwał od siebie to wszystko, co najmniejszą choćby dopuszcza wątpliwość, zupełnie tak samo, jak gdybym był stwierdził, że jest to zgoła fałszem. Będę też podążał dalej, póki nie poznam czegoś pewnego, i jeśli już nie poznam niczego innego jako pewne, to przynajmniej to, że nie ma nic pewnego. Aby całą ziemię poruszyć z miejsca, żądał Archimedes tylko punktu, który by był stały i nieruchomy; należy więc oczekiwać wielkich rzeczy, jeżeli znajdę choćby coś najmniejszego, co byłoby pewne i niewzruszone. Zakładam więc, że wszystko to, co widzę, jest fałszem, wierzę, że nie istniało nigdy nic z tego, co mi kłamliwa pamięć przedstawia, nie posiadam wcale zmysłów. Ciało, kształt, rozciągłość, ruch i miejsce są chimerami. Cóż zatem będzie prawdą? Może to jedno tylko, że nie ma nic pewnego.

Lecz skądże wiem, że poza tym, co już wymieniłem, nie ma nic innego, o czym wątpić najmniejszej doprawdy nie ma przyczyny? Czy może istnieje jakiś Bóg czy jakiegokolwiek mam nadać miano temu, kto te właśnie myśli we mnie wzbudza? Lecz dlaczego mam to przypuszczać, jeśli może sam jestem ich sprawcą? Czyż więc przynajmniej ja sam czymś jestem? Zaprzeczyłem już jednak, jakobym posiadał w ogóle jakieś zmysły i jakieś ciało. Tu jednak zatrzymuję się. Bo coż stąd wynika? Czyż jestem tak ściśle związany z ciałem i zmysłami, że bez nich nie mógłbym istnieć? Lecz już przyjąłem, że nic w świecie nie istnieje: ani niebo, ani ziemia, ani zmysły, ani ciała, czyż więc nie przyjąłem, że i ja nie istnieję? Ja jednak na pewno istniałem, skoro coś przyjąłem. Lecz istnieje zwodziciel - nie wiem, kto nim jest - wszechpotężny i najprzebiegły, który zawsze rozmyślnie mnie łudzi. Nie ma więc wątpliwości, że istnieję, skoro mnie łudzi. I niechajże mnie łudzi, ile tylko potrafi, to jednak nigdy nie dokaże, abym był niczym dopóty, dopóki będę myślał sam, że czymś jestem. Tak więc po wystarczającym i wyczerpującym rozważeniu wszystkiego, należy na koniec stwierdzić, że to powiedzenie: „Ja jestem, ja istnieję” musi być prawdą, ilekroć je wypowiadam lub w duchu pomyślę.

Jednakże jeszcze niedostatecznie rozumiem, kim jestem ja sam, który teraz już koniecznie istnieję; muszę więc uważać, abym przypadkiem czegoś innego nierozważnie nie wziął za siebie i tym sposobem nie popadł w błąd nawet w tym poznaniu, które uważam za najpewniejsze i najbardziej oczywiste ze wszystkich. Z tego powodu rozważę ponownie, za co się dawniej uważałem, zanim nie wszedłem na drogę tych rozmyślań [*cogitationes*].

Za coż się tedy dotychczas uważałem? Oczywiście za człowieka, lecz czym jest człowiek? Mamże powiedzieć: istotą żyjącą rozumną? Nie! Gdyż następnie należałoby zapytać, czym jest istota żyjąca i czym rozumna, i w ten sposób zamiast jednego pytania stanęłoby przede mną kilka pytań jeszcze trudniejszych, nie mam zaś tyle wolnego czasu, abym go mógł poświęcić na takie subtelności. Raczej zwrócę uwagę na to, co się dawniej myśli mojej samo w sposób naturalny narzucało, ilekroć rozważałem, czym jestem. Otóż narzucało mi się przede wszystkim, że mam twarz, ręce, ramiona i całą tę maszynę członków, jaką spostrzega się też u trupa, a którą oznaczałem nazwą ciała; narzucało mi się dalej, że się odżywiam, chodzę, czuję i myślę, które to czynności odnosiłem do duszy; lecz czym jest dusza, na to bądź wcale nie zwracałem uwagi, bądź wyobrażałem sobie jakieś nieuchwytnie nie wiem co, coś na kształt wiatru lub ognia, lub eteru, co przenika grubsze moje części. Co do ciała mego, to nie miałem żadnych wątpliwości, lecz sądziłem, że znam dokładnie jego naturę, a gdybym przypadkiem spróbował ją opisać, tak jak ją w myśli mojej pojmowałem, to tak bym się wyraził: przez ciało rozumiem wszystko to, co może być ograniczone jakimś kształtem, określone co do miejsca, wypełniać przestrzeń w taki sposób, że z niej wyłącza każde inne ciało, co może zostać spostrzeżone za pomocą dotyku, wzroku, słuchu, smaku lub zapachu i co może nadto na różne sposoby zostać wprowadzone w ruch, wprowadzie nie samo przez się, ale przez coś innego, co go dotyka; sądziłem bowiem, że posiadanie siły do wprowadzania siebie samego w ruch, podobnie jak posiadanie zdolności czucia lub myślenia, żadną miarą nie należy do natury ciała; co więcej, dziwiłem się raczej, gdy zdolności te w niektórych ciałach znajdowałem.

Cóż jednak teraz będzie, skoro zakładam, że zwodziciel jakiś przepotężny i - jeśli godzi się tak powiedzieć - złośliwy zadaje sobie trudu, aby mnie zwodzić we wszystkim, ile tylko potrafi? Czyż mogę twierdzić, że posiadam chociażby jakąś najmniejszą rzecz z tych wszystkich, o których

poprzednio powiedziałem, że należy do natury ciała? Natężam uwagę, myślę, rozważam i niczego takiego nie znajduję [...].

Lecz cóż z tego posiadam, co przypisywałem duszy, np. jakże jest z odżywianiem się lub chodzeniem? Otóż skoro już nie mam ciała, to one nie są niczym innym jak tylko fikcjami. A jak się ma rzecz z czuciem? I ono oczywiście nie może się dokonywać bez ciała, a nawet zdawało mi się, że bardzo wiele rzeczy czułem we śnie, których - jak później się przekonałem - nie czułem. A jak jest z myśleniem? Teraz znalazłem! Tak: to myślenie! Ono jedno nie daje się ode mnie oddzielić. Ja jestem, ja istnieję; to jest pewne. Jak długo jednak? Oczywiście, jak długo myślę; bo może mogłoby się zdarzyć, że gdybym zaprzestał w ogóle myśleć, to natychmiast bym cały przestał istnieć. Teraz przyjmuję tylko to, co jest koniecznie prawdziwe; jestem więc dokładnie mówiąc tylko rzeczą myślącą, to znaczy umysłem [*mens*] bądź duchem [*animus*], bądź intelektem [*intellectus*], bądź rozumem [*ratio*] – wszystko to wyrazy o nie znanym mi dawniej znaczeniu. Jestem więc rzeczą prawdziwą i naprawdę istniejącą; lecz jaką rzeczą? Powiedziałem: myślącą. Czymże więc jestem? Rzeczą myślącą; ale co to jest? Jest to rzecz, która wątpi, pojmuje, twierdzi, przeczy, chce, nie chce, a także wyobraża sobie i czuje.

[*Medytacje o pierwszej filozofii, II*]

Zważywszy, że wszelkie myśli, które mamy na jawie, mogą nas nachodzić również we śnie, z tym jednak, że wtedy żadna nie jest prawdziwa, postanowiłem przyjąć, że wszystko, co kiedykolwiek znalazło się w moim umyśle, nie było bardziej prawdziwe niż moje senne widziadła. Zaraz potem jednak zwróciłem uwagę na to, iż w chwili, gdy chciałem tak myśleć, że wszystko jest fałszywe, stawało się konieczne, bym ja, którym to myślał, był czymś. A spostrzegłszy, iż ta prawda: myślę, więc jestem, była tak niezachwiana i pewna, że wszelkie najbardziej dziwaczne przypuszczenia sceptyków nie zdołały jej zachwiać, uznałem bez obawy błędu, że mogę ją przyjąć jako pierwszą zasadę filozofii, której poszukiwałem.

[*Rozprawa o metodzie, IV*]

POZNANIE RACJONALNE

Zauważywszy, że w zdaniu: myślę, więc jestem nie ma nic innego, co by mnie upewniało, że mówię prawdę, jak tylko to, iż widzę bardzo jasno, że aby myśleć, trzeba istnieć, uznałem, że mogę przyjąć za ogólne prawidło, iż rzeczy, które pojmujemy bardzo jasno i wyraźnie, są wszystkie prawdziwe; zachodzi tylko pewna trudność, by móc zauważyć, które to rzeczy pojmujemy wyraźnie.

[*Rozprawa o metodzie, IV*]

Rozważmy te przedmioty, które powszechnie uchodzą za najwyraźniej ze wszystkich pojmowane. Są to ciała, których dotykamy, które widzimy. Nie idzie tu o ciała w ogóle, te bowiem ogólne pojęcia bywają znacznie bardziej wyraźne, lecz o jakieś konkretne. Weźmy np. ten воск; świeżo został otrzymany z plastra i jeszcze nie stracił całkiem smaku miodu, ma w sobie jeszcze trochę zapachu kwiatów, z których został zebrany; jego barwa, kształt, wielkość są widoczne; jest twardy, zimny, można go łatwo dotknąć i gdyby stuknąć weń palcem, wydaje dźwięk. Jednym słowem posiada wszystko, co zdaje się być potrzebne, aby jakieś ciało mogło zostać jak najwyraźniej poznane. Ale oto, w czasie, gdy to mówię, przybliża się воск do ognia, traci on resztki smaku, zapach ulatuje, barwa się zmienia, kształt znika, wzrasta wielkość, воск staje się płynny, gorący, ledwo go dotknąć można i jeśli weń postukać, już nie wydaje dźwięku. Czyż to jest dalej ten sam воск? Trzeba przyznać, że ten sam, nikt temu nie przeczy, nikt inaczej nie myśli. Cóż więc to było w tym воск, co się tak wyraźnie pojmowało? Na pewno nic z tego, co mi było dane przez zmysły, cokolwiek bowiem podpadało bądź pod zmysł smaku, bądź powonienia, bądź wzroku, bądź dotyku, bądź słuchu, uległo już zmianie: a tymczasem воск pozostaje.

Może było to tym, o czym teraz myślę, mianowicie że воск sam nie był tą słodyczą miodu ani tą wonią kwiatów, ani tą bielą, ani kształtem, ani dźwiękiem, lecz ciałem, które mi się przedtem jawiło w ten sposób, a teraz w inny. Lecz czym dokładnie jest to, co tak sobie wyobrażam? Zwróćmy baczną uwagę i usunąwszy to wszystko, co do воск nie należy, przyjrzyjmy się, co pozostaje; otóż nic innego, jak tylko coś rozciągniętego, giętkiego i zmiennego. Ale co to jest to: giętkie i zmienne? Czyż to, że sobie wyobrażam, iż ten воск może przejść z kształtu okrągłego do kwadratowego, a od tego do trójkątnego? Żadną miarą, albowiem pojmuję ten воск jako zdolny do niezliczonej ilości takich zmian, nie mogę zaś przebiec w wyobraźni niezliczonej ilości, a zatem pojęcie to nie powstaje dzięki zdolności wyobrażenia. A co to jest to: rozciągnięte? Czyż może i ta rozciągniętość jego jest mi nie znana? Albowiem w topiącym się воск staje się ona większa, jeszcze większa we wrzącym i jeszcze większa, gdy ciepło dalej wzrasta; i nie osądzałbym słusznie, czym jest воск, gdybym nie mniemał, że może on co do rozciągniętości ulegać liczniejszym zmianom, aniżeli kiedykolwiek wyobraźnią swą ogarnąłem. Nic mi więc innego nie pozostaje, jak przyznać, że nie mogę sobie wyobrazić, czym jest ten воск, lecz tylko rozumem ująć. Mówię to o konkretnym kawałku воск, o воск w ogóle jest to jeszcze bardziej jasne. Ale czym jest ten воск, który tylko rozumem ujmuję? Oczywiście, jest on tym samym воск, co ten, który widzę, którego dotykam, który sobie wyobrażam, jednym słowem, tym samym, o którym od początku mniemałem, że jest. A jednak należy stwierdzić, że jego ujęcie nie polega i nigdy nie polegało ani na widzeniu, ani na czuciu dotykiem, ani w ogóle na żadnym wyobrażeniu, jakkolwiek pierwotnie się tak zdawało, lecz polega na wglądzie samego umysłu, który może być niedoskonały i niejasny, jak to też było pierwotnie, albo jasny i wyraźny, jak to jest teraz [...]

Tak oto wreszcie sam zaszedłem tam, dokąd chciałem. Natura materii, czyli ciała rozpatrywanego w ogólności, nie na tym polega, że jest ono jakąś rzeczą twardą czy ciężką, czy barwną, czy w jakiś inny sposób działającą na zmysły, ale tylko na tym, że jest ono rzeczą rozciągniętą wzdłuż, wszerek i w głąb. Skoro bowiem już wiem, że samych ciał nie ujmuję właściwie za pomocą zmysłów albo za pomocą zdolności wyobrażenia, lecz za pomocą samego intelektu, i że nie dzięki temu się je ujmuję, że się ich dotyka albo że się je widzi, lecz tylko dzięki temu, że się je rozumowo poznaje, to poznaję w sposób niewątpliwy, że niczego łatwiej lub oczywiściej ująć nie mogę niż mój umysł własny.

[*Medytacje o pierwszej filozofii, II*]

IDEA BOGA

Wszystko bowiem, co mi się ujawnia przez przyrodzone światło (jak np. że stąd, iż wątpię, wynika, że istnieję itp.), żadną miarą nie może podlegać wątpliwości, ponieważ nie może istnieć żadna inna [władza poznawcza], której bym w tym samym stopniu ufał jak owemu światłu i która mogłaby mnie pouczyć, że to nie jest prawdą. [...]

Pośród wszystkich jednak moich idei - oprócz tej, która mi przedstawia mnie samego i która nie może tu sprawiać żadnej trudności — jest inna, która przedstawia mi Boga, inne przedstawiają mi rzeczy cielesne i nieożywione, inne znów aniołów, jeszcze inne zwierzęta, a w końcu takie, które mi przedstawiają innych ludzi, do mnie podobnych. Łatwo też pojmuję, że jeżeli chodzi o idee, które przedstawiają innych ludzi bądź zwierzęta, bądź aniołów, to można je utworzyć przez połączenie posiadanych przeze mnie idei mnie samego, rzeczy cielesnych i Boga, nawet gdyby nie było na świecie oprócz mnie żadnych ludzi ani zwierząt, ani aniołów.

Co się zaś tyczy idei rzeczy cielesnych, to nic w nich nie pojawia się tak wielkiego, żeby nie mogły one pochodzić ode mnie samego. [...]

Pozostaje więc jedynie idea Boga, nad którą należy się zastanowić, czy nie ma w niej czegoś takiego, co by nie mogło pochodzić ode mnie samego. Przez nazwę Bóg rozumiem pewną substancję nieskończoną, niezależną, o najwyższym rozumie i mocy, która stworzyła mnie samego i wszystko inne, co istnieje, o ile tylko istnieje. Otóż te wszystkie przymioty są tak wielkie, że im uważniej się nad nimi zastanawiam, tym bardziej niemożliwym mi się wydaje, by mogły pochodzić ode mnie samego. Musi się więc na podstawie tego, co przed chwilą powiedziałem, dojść do wniosku, że Bóg koniecznie istnieje. Bo chociaż idea substancji jest wprowadzić we mnie dlatego właśnie, że ja sam jestem substancją, nie byłaby to jednak idea substancji nieskończonej, jako że ja jestem skończony, chyba że pochodziłaby od jakiejś innej substancji, która by naprawdę była nieskończona. [...]

Muszę się więc sam siebie zapytać, czy posiadam jakąś moc, przez którą mógłbym sprawić, abym ja, ten, który teraz jestem, mógł istnieć także za chwilę. Bo skoro nie jestem niczym innym, jak tylko rzeczą myślącą, to przynajmniej mówię teraz dokładnie o tej tylko części mojego ja, która jest rzeczą myślącą, bo bez wątplenia byłbym świadomy tej mocy, gdyby ona była we mnie. A tymczasem nie znajduję niczego takiego w sobie, i stąd najoczywiściej poznaję, że jestem zależny od jakiejś istoty różnej ode mnie. [...] A dalej nie może tu już powstać żadna trudność, lecz w ogóle trzeba dojść do wniosku, że już to samo, iż ja istnieję i posiadam ideę istoty najdoskonalszej, to jest Boga, dowodzi jak najoczywiściej, że także Bóg istnieje. Pozostaje mi jeszcze tylko zbadać, w jaki sposób otrzymałem ową ideę od Boga. Bo nie otrzymałem jej ani za pomocą zmysłów, ani też nigdy nie przyszła do mnie niespodzianie, jak zazwyczaj idee rzeczy zmysłowych, kiedy się te rzeczy narzucają, względnie wydają narzucać zewnętrznym organom zmysłów. Nie utworzyłem jej też sam, bo nie mogę niczego zgoła z niej ująć ani niczego do niej dodać. Wobec tego nie pozostaje nic innego, jak przyjąć, że jest mi wrodzona, tak samo jak jest mi wrodzona idea mnie samego. I naprawdę nie ma w tym nic dziwnego, że Bóg, stwarzając mnie, zaszczerpił we mnie tę ideę, by była jak gdyby znakiem, którym artysta naznaczył swoje dzieło. Nie trzeba też wcale, by ten znak był czymś różnym od samego dzieła, lecz na podstawie tego tylko, że Bóg mnie stworzył, jest bardzo wiarygodne, że stworzył mnie w pewien sposób na obraz i podobieństwo swoje i że to podobieństwo, które zawiera ideę Boga, pojmuję za pomocą tej samej zdolności, przez którą pojmuję siebie samego. To znaczy, że gdy skieruję uwagę na siebie samego, to nie tylko pojmuję, że jestem rzeczą niezupełną i zależną od kogoś innego, rzeczą, która dąży wiecznie do czegoś większego, czyli lepszego, lecz pojmuję także równocześnie, że ten, od którego jestem zależny, posiada te wszystkie rzeczy większe nie w jakiś sposób nieokreślony i potencjalny tylko, lecz rzeczywiście ma je w sobie w stopniu nieograniczonym, a przeto jest Bogiem.

Cała siła tego dowodu polega na tym, że uznaję, iż nie byłoby możliwe, abym był takiej natury, jakiej jestem, a mianowicie takiej, że mam w sobie Boga, gdyby nie istniał naprawdę Bóg. Ten sam Bóg - powiadam - którego idea jest we mnie, tzn. posiadający te wszystkie doskonałości, których wprowadzić nie mogę pojąć, lecz zaledwie tylko w jakiś sposób zbliżyć się do nich myślą - i który nie podlega żadnym brakom. Z tego jasno wynika, że nie może on być zwodzicielem, bo oczywiście jest dzięki przyrodzonemu światłu rozumu, że wszelkie oszustwo i wszelkie zwodzenie ma źródło w jakimś braku.

[Medytacje o pierwszej filozofii, III]

WOLA

Nie mogę się też uskarżać, że otrzymałem od Boga wolę, czyli wolność decyzji o niedostatecznym zasięgu i doskonałości, bo wiem z doświadczenia, że rzeczywiście nie posiada ona żadnych granic. I wydaje mi się rzeczą ze wszech miar godną uwagi, że wszystko inne, co jest we mnie, nie jest ani tak wielkie, ani tak doskonałe, bym nie mógł pomyśleć, że mogłoby być jeszcze większe czy doskonalsze. Bo gdy na przykład rozważam zdolność pojmowania, natychmiast stwierdzam, że posiadam ją w bardzo małym i ograniczonym stopniu, i równocześnie stwarzam sobie ideę jakiejś innej zdolności znacznie większej, a nawet największej i nieskończonej. I na tej właśnie podstawie, że mogę sobie urobić jej ideę, pojmuję, że należy ona do natury Boga. W ten sam sposób rozważając pamięć czy wyobraźnię, czy jakąkolwiek inną zdolność, nie znajduję żadnej, która by we mnie nie była słaba i ograniczona, w Bogu zaś nieskończona. Jedynie tylko wolę, czyli wolność decyzji stwierdzam u siebie w takim stopniu, że nie znajduję idei niczego większego od niej; tak, że przede wszystkim dzięki niej poznaję, iż jestem stworzony w pewnej mierze na obraz i podobieństwo Boga. Chociaż bowiem jest ona w Bogu bez porównania większa niż we mnie - i to zarówno pod względem poznania i mocy, które są z nią złączone i czynią ją samą silniejszą i skuteczniejszą, jak też pod względem przedmiotu, ponieważ obejmuje więcej rzeczy - to jednak nie wydaje się większa, jeśli ją rozpatrywać samą w sobie w sposób formalny i dokładny. Polega ona bowiem tylko na tym, że możemy to samo uczynić albo tego nie uczynić (tzn. potwierdzić lub zaprzeczyć, pójść za czymś albo unikać tego), albo raczej na tym tylko, że przystępujemy do potwierdzenia lub zaprzeczenia tego, czyli podążania za tym lub unikania tego, co nam intelekt przedkłada, w ten sposób, że czujemy przy tym, iż żadna siła zewnętrzna nas do tego nie zmusza. Nie trzeba bowiem na to, bym był wolnym, żebym mógł się przechylić ku jednej lub drugiej stronie; lecz przeciwnie, im bardziej przechyliłem się ku jednej, czy to dlatego, że tu pojmuję jasno racje dobra i prawdy, czy też, że Bóg tak kieruje najgłębszą treścią mojej myśli, tym bardziej wolny jest mój wybór. Z pewnością też ani łaska Boga, ani poznanie przyrodzone nigdy nie umniejsza wolności, lecz przeciwnie, raczej pomnaża i wzmacnia. To niezdecydowanie zaś, którego doświadczam, gdy żadna racja nie skłania mnie ku tej raczej stronie niż drugiej, jest najniższym stopniem wolności i dowodzi tylko jakiegoś braku czy też negacji w poznaniu, a nie żadnej doskonałości. Bo gdybym zawsze jasno wiedział, co jest prawdziwe i dobre, to nigdy bym się nie namyślał nad tym, jaki ma być mój sąd czy wybór, i tak byłbym wprawdzie zupełnie wolny, ale nigdy nie mógłbym być niezdecydowany.

Na podstawie tego wszystkiego pojmuję, że zdolność chcenia, którą mam od Boga, rozważana sama w sobie też nie jest przyczyną moich błędów; jest bowiem w najwyższym stopniu rozległa i w swoim rodzaju doskonała. Ale nie jest nią też zdolność pojmowania, albowiem wszystko cokolwiek pojmuję, pojmuję bez wątpienia trafnie, skoro to - że pojmuję - mam dane od Boga i tu nie może się zdarzyć, bym błądził. Skądże więc biorą się moje błędy? Otóż tylko stąd, że woli, mającej szerszy zasięg niż intelekt, nie utrzymuję w tych samych granicach, lecz rozciągam ją także na te sprawy, których nie pojmuję. A ona, będąc co do nich niezdecydowana, łatwo zbacza z drogi prawdy i dobra; i w taki sposób powstają moje błędy i grzechy.

[*Medytacje o pierwszej filozofii, IV*]

DUALIZM DUSZY I CIAŁA

Uczy mnie także natura przez owe wrażenia bólu, głodu, pragnienia itd., że ja nie jestem tylko obecny w moim ciele, tak jak żeglarz na okręcie, lecz że jestem z nim jak najściślej złączony i jak gdyby zmieszany, tak że tworzę z nim jakby jedną całość. W przeciwnym bowiem razie ja, który nie jestem niczym innym jak rzeczą myślącą, nie odczuwałbym bólu, gdy ciało moje zostanie zranione, lecz samym tylko intelektem ujmowałbym owo zranienie, tak jak żeglarz ujmuje wzrokiem, gdy coś na statku się złamie; i gdy ciało domaga się jedzenia lub picia, to bym też rozumiał wyraźnie, a nie doznawał mętnych wrażeń głodu czy pragnienia. Nie są bowiem z pewnością niczym innym owe wrażenia pragnienia, głodu, bólu itd., jak tylko pewnymi mętnymi odmianami myślenia, powstałymi z połączenia i jak gdyby przemieszania umysłu i ciała.

Poza tym jeszcze poucza mnie natura, że wokół mojego ciała znajdują się rozmaite inne ciała i że za jednymi z nich należy iść, a innych unikać. I z pewnością z tego, że odczuwam najrozmaitsze barwy, dźwięki, zapachy, smaki, ciepło, twardość itp., wysnuwam słuszny wniosek, iż w ciałach, od których doznaję różnorodnych wrażeń zmysłowych, jest pewna różnaitość odpowiadająca tamtym, choć może do nich niepodobna. Na podstawie tego zaś, że niektóre z owych wyobrażeń są dla mnie miłe, a inne niemiłe, jest rzeczą zupełnie pewną, iż ciało moje, a raczej ja cały, jako składający się z umysłu i ciała, mogę doznawać od otaczających mnie ciał wpływów korzystnych albo niekorzystnych.

[*Medytacje o pierwszej filozofii, VI*]

Wszelkie walki, któreśmy zwykli wyobrażać sobie pomiędzy niższą częścią duszy, zwaną zmysłową, a wyższą, rozumną, albo raczej pomiędzy popędami naturalnymi a wolą, polegają jedynie na przeciwieństwie, jakie zachodzi między ruchami, które równocześnie usiłują wywołać w gruczole [szyszynce]: ciało za pomocą swych tchnień życiowych i dusza za pomocą swej woli. Istnieje w nas bowiem tylko jedna dusza, a dusza ta nie posiada w sobie żadnych różnych części; ta, która jest zmysłowa, jest także rozumna; wszystkie zaś te popędy są chęciami. Błąd, jaki się popełnia każąc jej grać różnorakie osoby, sprzeciwiające się zwykle sobie, pochodzi stąd jedynie, że nie odróżnia się należycie jej funkcji od funkcji ciała, któremu wyłącznie należy przypisać to wszystko, co można zauważyć w nas jako sprzeciwiające się naszemu rozumowi. Nie ma tu zatem żadnej innej walki krom tej tylko, że mały gruczoł, znajdujący się w środku mózgu, może być pchnięty w jedną stronę przez duszę, w drugą zaś przez tchnienia życiowe, które są jedynie ciałami.

[*Namiętności duszy, XLVII*]

MORALNOŚĆ TYMCZASOWA

Przed rozpoczęciem odbudowy domu, w którym mieszkamy, nie dość jest zburzyć go tylko, zaopatrzyć się w materiały oraz zamówić budowniczych lub też samemu ćwiczyć się w sztuce budowania, a dalej, starannie opracować projekt; należy się także wystarać o jakiś inny dom, w którym dałoby się wygodnie zamieszkać w czasie, gdy tamten będzie budowany; podobnie, aby nie pozostać zupełnie niezdecydowanym co do swych czynów w czasie, gdy rozum zniewala mnie ku temu w mym sądzie, oraz aby nie zaprzestać od owej chwili żyć najszcześliwiej, jak tylko można, urobiłem sobie moralność tymczasową, składającą się zaledwie z trzech czy czterech zasad postępowania, którymi chętnie się z wami podzielę.

Pierwszą było, abym był posłuszny prawom i obyczajom swego kraju, trzymając się wytrwale religii, w której dzięki łasce Bożej byłem od dzieciństwa chowany, i kierując się we wszystkich innych sprawach mniemaniem najbardziej umiarkowanym i najdalszym od krańcowości, które są powszechnie przyjęte w postępowaniu najrozsądniejszych wśród tych, z którymi miałbym współżyć. Przestając bowiem od tej chwili liczyć się z moimi własnymi mniemaniem, jako że chciałem je wszystkie poddać badaniu, byłem pewien, że nie pozostało mi nic lepszego, jak trzymać się poglądów ludzi najrozsądniejszych. [...]

Drugą mą zasadą postępowania było, żeby być w czynach swych w miarę możliwości najbardziej stanowczym i stałym i trzymać się mniemań nawet najbardziej wątpliwych, z chwilą gdy się raz wreszcie zdecydował, nie mniej wytrwale, niż gdyby były bardzo pewne. Naśladowałbym w tym podróżnych, którzy zmyliwszy drogę w lesie nie powinni się błąkać to w tę, to w inną stronę, ani tym bardziej zatrzymywać się w jednym miejscu, lecz tylko kroczyć w miarę możliwości jak najprościej w tym samym kierunku i nie zmieniać go dla błahych powodów, chociażby nawet sam tylko przypadek skłonił ich początkowo do jego wyboru; tym sposobem bowiem, chociaż nie podążają dokładnie tam, dokąd by sobie życzyli, w końcu przynajmniej przybędą gdzieś, gdzie prawdopodobnie będą się lepiej czuli aniżeli w środku lasu. [...]

Trzecią mą zasadą postępowania było usiłowanie, aby zawsze przewycieżyć raczej siebie aniżeli los oraz zmieniać raczej swe życie aniżeli porządek świata; i w ogóle wyrobić sobie przeświadczenie, że poza myślą nie ma nic, co byłoby w sposób bezwzględny w naszej mocy.

[Rozprawa o metodzie, III]